

# Stanisław Bereś

---

## Ita dixit Lem

---

Postscriptum nr 1(51), 9-30

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Stanisław Bereś

## Ita dixit Lem

Każdy inteligentny Polak zna prawo Stanisława Lema. Głosi ono: „nikt nic nie czyta; jeśli czyta, nie rozumie; jeśli rozumie, natychmiast zapomina”. Tymczasem sam Lem był zaprzeczeniem tego prawa. Wszystko czytał i rozumiał, niczego nie zapominał. Jego erudycja przekraczała wszelkie znane standardy i odpowiadała wiedzy kilku poważnych instytutów naukowych. Łatwo można się o tym przekonać, zaglądając np. do zapisów jego dyskusji z najwybitniejszymi polskimi filozofami w specjalnym numerze „Studiów Filozoficznych” (1965, nr 2-3) lub z elitą polskiego literaturoznawstwa w „Pamiętniku Literackim” (1971, nr 1). Jego hipotezy, przedstawiane na kartach kolejnych powieści i książek eseistycznych, były przekładane na język maszyn cyfrowych i absolutnie poważnie dyskutowane podczas głośnego *workshopu* naukowego na Freie Universität w Berlinie Zachodnim w 1981 roku (*Project Instrat*), który zgromadził wybitnych uczonych z całego świata z zakresu literaturoznawstwa, psychologii, genetyki, informatyki. Jakby mało tego, jako jedyny na świecie nienaukowiec, Lem brał udział w opracowywaniu koncepcji międzynarodowego programu naukowego SETI (*Search for Extraterrestrial Intelligence*), mającego na celu poszukiwanie form inteligentnego życia poza Ziemią. Wszystkie te konfrontacje ze światem nauki potwierdziły niewiarygodną szerokość wiedzy Lema, jego wyjątkową przenikliwość i zaskakującą trafność w konstruowaniu długofalowych prognoz cywilizacyjnych (np. w zakresie kierunków ewolucji „sztucznej inteligencji”, inżynierii genetycznej, bioinformatyki, koncepcji *cyberspace* i wirtualnej rzeczywistości, a nawet technologii wojskowych).

Już w kilka lat po debiucie Lem stał się jednym z najpopularniejszych, a wkrótce też najwybitniejszych polskich pisarzy XX i XXI wieku. Jego bo-

gaty dorobek powieściowy, dystansujący nakładami Sienkiewicza oraz oryginalna eseistyka filozoficzno-naukoznawcza zapewniły mu światowy rozgłos oraz pozycję międzynarodowego eksperta w sprawach współczesnej cywilizacji. Twórczość Lema doczekała się niezliczonej ilości przekładów (ponad 900 wydań) i przez ponad pół wieku stanowiła wyzwanie i inspirację dla każdego, komu bliskie były pytania o przyszłość świata, o perspektywy rozwoju podstawowych gałęzi nauki i technologii, o szanse penetracji kosmosu, o sposób wykorzystania wiedzy ludzkiej dla zmiany ziemskiego środowiska i samego gatunku ludzkiego.

Stanisław Lem urodził się w 1921 roku we Lwowie. W 1940 roku rozpoczął studia na wydziale lekarskim Instytutu Medycznego, przerywając je po wkroczeniu do miasta wojsk niemieckich. Do roku 1944 pracował fizycznie jako mechanik samochodowy i spawacz, współdziałając z ruchem oporu. W latach 1944-1946 kontynuował przerwane studia medyczne we Lwowie, zaś po repatriacji ponowił naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie uzyskał absolutorium w 1948 roku. W tym czasie pracował jako asystent w Konserwatorium Naukoznawczym, publikując stałe przeglądy prasy na łamach „Życia Nauki”. W 1946 roku zadebiutował jako poeta na łamach „Tygodnika Powszechnego”, zaś jako prozaik w „Nowym Świecie Przygód”. Od tego momentu rozpoczęła się droga pisarska Lema, który w krótkim czasie zdobył pozycję lidera w światowej *science fiction*, a zarazem w zdumiewający sposób rozbudował swą wiedzę na wielu polach nauki. Pisarz ten, niczym intelektualny buldożer, z zadziwiającą łatwością przeorywał wszystkie możliwe dziedziny poznania. Wypowiadał się, m.in. w gronie specjalistów, na tematy historyczno- i teoretycznoliterackie, językoznawcze, filozoficzne, psychologiczne, astronomiczne, ekonomiczne, medyczne; pisał o cybernetyce, fizyce, matematyce, teorii gier, logice, statystyce, genetyce i kontaktach międzygalaktycznych; zajmował się estetyką, historią, teorią kultury, futurologią, socjologią, informatyką, chemią, krytalografią, obyczajowością erotyczną i osteologią, biologią i zachowaniem się polarników, technologią i polityką, metafizyką i teologią, psychotroniką i polityką, okultyzmem i informatyką, a wreszcie Bóg jeden wie, czym jeszcze. Ta intelektualna żarłoczność odzwierciedla się w charakterystyczny sposób w strukturze języka Lemowego, wykorzystującego aparaturę pojęciową i idiomatykę tych wszystkich dyscyplin. Zmieszane w jednym kotle literatury, wzajemnie skonfrontowane i zreinterpretowane, tworzą w efekcie jedyną w swoim rodzaju mieszaninę artystyczno-naukową, w której odnajdziemy, jak w przekroju, ślady gigantycznej pracy poznawczej, mającej na celu ogarnięcie monstrualnie rozległego gmachu wiedzy ludzkiej. Jeśli tęsknimy więc dziś czasem za umysłami renesansowymi, obejmującymi całość humanistycznej i przyrodo-

znawczej refleksji o świecie; jeśli wzdychamy żałośnie za bezpowrotnie utraconą przez nieprawdopodobny wzrost wiedzy możliwością syntezy wiedzy ludzkiej, pisarstwo Lema przypomina, że jeszcze niedawno było to możliwe.

Co więcej zaś, literacka wyobraźnia, wyjątkowy dryg narracyjny i naukowa pasja doprowadziły Lema do wypracowania, unikalnej w skali światowej, formuły ambitnej fantastyki naukowej. Obecność wątków podróźniczych i przygodowych, żywa akcja, zafascynowanie światem techniki oraz humor zapewniły pisarzowi szeroki rezonans czytelniczy, niewiarygodna zaś wiedza, rzetelność diagnozowania i oryginalność refleksji zdobyły mu najwyższy autorytet w środowiskach naukowych. Nie jest tajemnicą, że autor *Solaris* był w gronie noblistów nauk ścisłych najbardziej cenionym pisarzem, zaś absolutną wyrocznią wśród astronautów.

Dzieła prozatorskie i eseistyczne Stanisława Lema wykraczają poza problemy i horyzonty charakterystyczne dla polskiej literatury. Pisarz, który najaktywniejszą część swojego życia związał z krajem, nigdy nie dał się zepchnąć do polskiego grajdołu, pozostając kompletnie nieczułym na literackie mody, środowiskowe owcze pędy czy narodowe zacządzenia. Kokietowany przez komunistyczne władze, zachował duchową niezależność, a jedyne odstępstwo od tej zasady zdarzyło mu się w początkach drogi twórczej, na przełomie lat 40. i 50., gdy dał się wplątać w serwituty wobec socrealizmu (*Astronaucci*, 1951; *Jacht „Paradise”*, 1951; *Obłok Magellana*, 1955), z których po paru latach, ale grubo przed Październikiem `56 się wyplątał, dokonując pionierskiej, miazdzącej analizy systemu centralistycznego w tomie *Dialogi* (1954). W latach 70. i 80. publikował w paryskiej „Kulturze” i w prasie niezależnej (pod pseudonimem P. Znanca). Wyprowadzony z równowagi ogłoszeniem stanu wojennego, wyjechał z kraju i przebywał przez kilka lat w Berlinie Zachodnim jako stypendysta Institute for Advanced Studies (1982-1988), później zaś w Wiedniu. Jego międzynarodowy autorytet powodował, że przypadła mu wówczas rola „obywatela świata”, gościa prestiżowych instytucji naukowych, a nie zagubionego polskiego emigranta. Powróciwszy po „okrągłym stole” do kraju, nadal zachował niewrażliwość na pokusy politycznej doraźności i środowiskowych mód, choć niejednokrotnie dawał upust swej pasji polemicznej i cierpko wypowiadał się na temat sytuacji w Polsce. Ostatnie lata jego życia to wręcz wybuch — rzadko wcześniej w takim stopniu ujawnianej — aktywności publicystycznej. Spoglądając jednak globalnie na całość jego dzieła, tę część twórczości uznać należy jednak za margines, rodzaj komentarzy do irytującej go rzeczywistości. W nurcie głównym, pozostał wierny sobie i własnym pasjom, przedmiotem poznawczych eksploracji czyniąc sprawy i zjawiska, wykraczające poza granice państw i kontynentów, niekiedy nawet ziemskiego globu.

Jego twórczość ma wszelkie cechy wyjątkowości, brak dla niej porównań i odniesień nie tylko w kraju, ale również za granicą.

Pisarz ten, powszechnie uznawany za jednego z najwybitniejszych — w skali światowej — przedstawicieli ambitnej, intelektualnej science fiction (zwanej „twardą”) przeszedł w swej twórczości drogę od tematyki współczesnej (*Szpital Przemienienia*, 1947), poprzez pełną niespodzianek i dramaturgicznych napięć fantastykę eksploracyjną, ukazującą — najpierw — potęgę geniuszu ludzkiego, ruszającego na podbój kosmosu (*Astronauci*, 1951; *Obłok Magellana*, 1955), potem zaś jego ograniczoność w zderzeniu z narastającymi przeciwnościami, tajemnicami świata i własną niedoskonałością (*Solaris*, 1961; „*Niezwyctężony*”, 1964). Kolejnym etapem pisarskiej ewolucji tego kultowego dla kilku pokoleń pisarza stały się powieści, które w coraz bardziej erudycyjny, a zatem piętrzący trudne pytania sposób, pokazywały złożoność uniwersum (*Głos Pana*, 1968) i rzeczywistości społecznej (*Pamiętnik znaleziony w wannie*, 1961), zwątpienie w możliwości rozumu i dobrą wolę człowieka (*Prowokacja*, 1984; *Fiasko*, 1987). Dlatego już na przełomie lat 60. i 70. akcja i przygoda zaczęły ustępować intelektualnym sposobom opisu zagadek świata, literatura coraz mocniej wypierana była przez esej oraz traktat filozoficzny (*Summa technologiae*, 1964; *Filozofia przypadku*, 1968; *Fantastyka i futurologia*, 1970; *Rozprawy i szkice*, 1975), humanistyczny optymizm nieuchronnie zaś ustępował wnioskowi katastroficznym. O ile wcześniej Lem dbał o przyjemność czytelnika, opakowując swoje scjencyczne koncepcje w literackie kostiumy fabuły, sensacji, przygody, bajki, groteski itd., o tyle w latach 80. z pewną surowością zaczął traktować cały ten sztafaż. Wyjątek uczynił wyłącznie dla języka, który — choć został wprzęgnięty w wehikuł eseistyki — zachował jednak swą dawną barwność i soczystość.

A zaczęło się to wszystko dość skromnie, bo od powieści *Człowiek z Marsa*, drukowanej w odcinkach w 1946 roku na łamach pisma młodzieżowego „Nowy Świat Przygód”. Autor zresztą dopiero w ostatnich latach swojego życia zdecydował się na jej przedruk (1995). Utwory, które powstały po debiucie, a zatem *Astronauci*, *Sezam* (1954) i *Obłok Magellana*, nie wstrząsnęły może rynkiem czytelnictwem, ale zaskarbiły za to Lemowi liczne grono fanatycznie wiernych czytelników i uczyniły go ojcem chrzestnym powojennej fantastyki polskiej. W swoich horyzontach prognostycznych i diagnostycznych były one naturalnie dziećmi swojej epoki (sorealizm), kreśliły więc — obowiązkowy wówczas — krzepki technologicznie i optymistyczny humanistycznie obraz nowej rzeczywistości społecznej, w której wszystkie rasy i narody łączą się w jeden bezklasowy organizm, najbardziej wyszukane potrzeby ludzkie zostają zaspokojone, a konflikty socjalne roz-

wiązane, co pozwala na wcielenie w życie programu śmiałych eksploracji międzyplanetarnych. Co prawda w *Astronautach* znajdziemy wątek apokalipsy atomowej, która zmiotła z ziemi społeczność, nie umiejącą się wyrzec swych hegemonistycznych aspiracji (imperializm amerykański), jednakże problemy te w roku akcji powieściowej należały już do przeszłości, bowiem w bezklasowym rajku królował racjonalizm i etyka, zaś wszechwładna wiedza ścieśliła *orbis terrarum* wprost pod nogi pragnącego go spenetrować i zagospodarować człowieka. Wprawdzie jego dalsza droga — ku galaktycznemu *empireum* — miała być jeszcze długa i niebezpieczna, jednakże — jak mówił jeden z bohaterów: „nic nie może mu się oprzeć. Tym staje się większy, im większe napotyka przeszkody. W nim jest wszystko: wielkość i słabość, miłość i okrucieństwo, to, co ograniczone, i to, co nie ma granic. Bo nawet gwiazdy starzeją się i gasną, a my pozostaniemy”.

Iluzje młodości, zwłaszcza podkręcane przez ideologie, starzeją się wyjątkowo szybko. Do tego typu przekonań Lem nigdy już więc nie wrócił, a co więcej myśli o nich wyparł ze swojej pamięci. Trudno je dziś traktować jako owoc ideologicznego zaszaczenia, gdyż jako takiemu raczej nie podlegał. W jego wypadku były one raczej efektem rozbuchanych — mniejsza już o to, że były to lata „zimnej wojny” — marzeń o nowej cywilizacji, w której technika rozwiąże, niczym usłużny dżin, wszystkie uciążliwe codzienne i globalne problemy. Była to ostatecznie era, gdy wystrzelenie pierwszego sputnika na ziemską orbitę było już bardzo bliskie, co pozwalało wierzyć w to, że podbój kosmosu jest już tylko na wyciągnięcie ręki. Być może też w tych socrealistycznych odysejach kosmicznych drzemała również naiwna wiara, którą wyrażało słynne zdanie Adama Wazyka z *Poematu dla dorosłych*: „kiedy nie można mówić wprost o ziemi, mówimy: niebo nie jest puste”. Nie zmienia to jednak faktu, że był to rodzaj eskapizmu. Utopie zaś wszystkich wieków mają to do siebie, że są pozytywnym negatywem rzeczywistości doświadczałnej, projekcją tego, co niurzeczywistnialne w inną przestrzeń i czas. Choć nieraz i same pobrękują dźwiękiem kajdan.

Utopie jednak — jak wiemy — często lubią płodzić antyutopie. Tak się też stało w twórczości Lema. Równoległe bowiem ze wspomnianymi utworami powstawały *Dzienniki gwiazdowe* (1957), otwierając wewnętrzną polemikę z nurtem galaktycznego sielankopisarstwa. W przeciwieństwie do napuszonych i śmiertelnie poważnych wizji eksploracyjnych, były to opowiadania groteskowe, odwołujące się chętnie do absurdu czy komizmu. Niezliczone przygody Ijona Tichego, „słynnego gwiazdokrażcy, kapitana dalekiej żeglugi galaktycznej, łowcy meteorów i komet, niestrudzonego badacza i odkrywcy”, spadkobiercy Münchhausena, Masłobojnikowa i Guliwera, stały się pretekstem dla ukazania całej paradoksalności i zakłamania ówczesnego

świata. Wydrwiony w nich został napuszony i pusty język nauki i ideologii, mechanizmy życia zbiorowego, dominujące wówczas style myślenia, postawy intelektualne, polityczne strategie i schematy poznawcze. O ile więc fantastyka „na serio” była prezentacją perspektyw i możliwości, stojących przed ludzkością, o tyle nurt groteskowy był próbą ukazania niemożności, pętających ludzką zbiorowość więzami humanistycznych złudzeń, stereotypów, ideologicznych dewiacji i charakterologicznych ułomności. W każdej więc podróży Tichego, jako (niekoniecznie ciekawych) przedstawicieli innych cywilizacji oglądaliśmy karykatury samych siebie. Tyle samo w tym było bez troskiej zabawy i łobuzerskiego kpiarstwa, co i poważnego diagnozowania rzeczywistości drugiej połowy lat 50. Zgodny był Lem w tych opowiadaniach z tradycją — wysoko przez niego waloryzowanej — powiastki filozoficznej, dla której cała warstwa zdarzeń, konfliktów i postaci była płaszczyzną pretekstową, podczas gdy podstawowym nośnikiem sensów była warstwa podskórna, skłaniająca ku refleksjom moralistyczno-filozoficznym.

Zarówno *Dzienniki gwiazdowe*, w których Lem puścił swobodnie cugle wyobraźni, jak i *Dialogi* (1957), wyrastające na fali urzeczenia możliwościami cybernetyki, będące zestawem ośmiu rozmów Hylasa z Fylonousem na temat granic poznania ludzkiego, skutków manipulowania socjostazą, szans na przeniknięcie obcych kodów kulturowych, ewolucji ludzkiego mózgu w środowisku pozasomatycznym, czy wreszcie — obok wielu innych — konstytuowania się „nieobiektywnych” obrazów świata na skutek wrastania w narzucone lub fałszywie przyjęte systemy doznawania, postrzegania i interpretacji, stanowią niezwykle ważki moment w rozwoju pisarstwa Stanisława Lema. Od tego momentu bowiem twórczość jego podążać będzie trzema równoległymi, wzajemnie przecinającymi się i zazębiającymi — często w ramach jednego utworu — torami. *Dzienniki* dadzą podbudowę pod długi cykl utworów groteskowych i bajkowych; *Dialogi* staną się pierwszym ogniwem bogatej i erudycyjnej eseistyki naukowej Lema, odżywiającej z kolei zarówno groteskę jak i „realistyczne” powieści fantastyczno-naukowe. I choć każdy z tych modeli literackich rozwijany będzie osobno, to przecież w znacznym stopniu będą się one nawzajem dopełniać. Dyskurs naukowy osadzi się w poważnej fantastyce (*Głos Pana*), prognostyczna fantastyka w futurologicznej eseistyce (*Summa technologiae*) lub w grotesce (*Przekładaniec*), groteska w fantastyce (*Pamiętnik znaleziony w wannie*), z kolei zaś w groteskach koncepcje zrodzone w esejach (*Dzienniki gwiazdowe*). Przyszłościowe koncepcje i diagnozy współczesnej kultury masowej w ogóle nader często będą potrzebowały wsparcia groteski, by ukazać grozę lub absurd obserwowanych czy prognozowanych zjawisk (*Doskonała próżnia*, 1982; *Prowokacja*, 1984). Stworzy w ten sposób Lem zjawisko

„tunelowe”, charakteryzujące się złożonym systemem wewnętrznych odbić, polaryzacji i dopełnień swoich najważniejszych koncepcji, wątków myślowych i motywów fabularnych. To, co w jednym utworze pojawi się w tonacji poważnej, w drugim powróci odbite w lustrze groteski, a wymyślny, podany żartobliwie paradoks logiczny pojawi się niespodzianie w kostiumie starannie uargumentowanego dowodu futurologicznego. Mechanizm ten stał się dla Lema procederem tak powszechnym, że można powiedzieć, iż cała jego twórczość jest nim napędzana od początku do końca. Sama już nawet kostyczna scjentycznie *Summa* jest ogromną składnicą pomysłów, z których wiele odnajdziemy na kartach jego beletrystyki. Twórczość bowiem tego pisarza, pozornie tak niejednorodna w swojej tkance gatunkowej, okazuje się zjawiskiem wyjątkowo spójnym i jednolitym, jeśli spojrzeć na nią przez kompleks konstytuujących ją myśli i przekonań, zwątpień i zadufań, fascynacji i repulsji.

Już w początkach lat 60. Lem został uznany za najwybitniejszego przedstawiciela polskiej science fiction, a w latach 70. zaliczono go do najściślejszej elity światowej fantastyki. Z czasem to przypisanie do science fiction stało się tak oczywiste, że aż do ostatnich lat, nawet wtedy, gdy pisarz w ogóle już nie uprawiał prozy fabularnej, uznawano go nadal za modelowego przedstawiciela tego gatunku. Tymczasem ta kwalifikacja już od lat 70. krzywdziła pisarza, gdyż nieustannie i świadomie przekraczał gatunkowe ramy, ograniczające go w kreatywnej potencji i epistemologicznej wydolności. *Si parva magnis comparare licet* można powiedzieć, że jego przynależność do science fiction opierała się na podobnych zasadach, jak przynależność *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego do powieści kryminalnej, *Błogosławieństwa ziemi* Knuta Hamsuna do prozy wiejskiej, a *Lorda Jima* Josepha Conrada do powieści marynistycznej. Oczywiście, w takim kwalifikowaniu tkwić będzie jakieś źdźbło prawdy, jednakże pełna prawda, jak korpus góry lodowej, ukrywać się będzie w mętnej wodzie filologicznych rozróżnień. Niestety, wzorzec gatunkowy ustala się na podstawie uśrednienia zawartości utworów danej grupy. W tej sytuacji dzieła wybitne i prekursorские, częstokroć z racji fabularnego sztafażu, wpychane są kolanem nie do tej genologicznej szuflady, co należy. Niejednokrotnie zresztą jako parawan i wygodne alibi dla mniej wartościowych utworów. Ostatecznie, gdyby się ktoś uparł, bez trudu zaklasyfikowałby *Pożegnanie jesieni* i *Nienasyconie* Witkacego do science fiction. Sytuacja Lema była jednak znacznie gorsza, gdyż wyszedł od rozwiązań typowych dla gatunkowego „getta” i chociaż przez całe dziesięciolecia poszerzał tereny science fiction, anektował dla niej nowe rozwiązania i obszary inspiracji, łamał jej reguły, manifestacyjnie przeprowadzał się do scjentycznej eseistyki, a nawet brutalnie szydził ze wszyst-



kiego, co zaliczano do *speculative fiction* (*Fantastyka i futurologia*, 1970), to jednak dla czytelników, krytyków, a co gorzej — historyków literatury pozostał do końca koryfeuszem science fiction.

Tak bogata i erudycyjna twórczość niełatwo poddaje się prostym typologizacjom i lapidarnym formułom. Ale gdyby trzeba było iść na skróty, wówczas należałoby powiedzieć, że cała twórczość Lema koncentruje się wokół rozważań na temat szans i niebezpieczeństw rozwoju techniki i nauki, możliwości kontaktu i wymiany doświadczeń z innymi cywilizacjami, perspektyw rozwoju „sztucznej inteligencji” (komputeryzacja, biotechnologia), socjotechniki praktykowanej na wyizolowanych grupach społecznych, ale i całych narodach, wreszcie szans na przejęcie przez człowieka tych technologii, którymi operuje od miliardów lat natura. Wszystkie te kwestie rozważane były przez Lema zarówno w „realistycznych”, choć rozgrywających się w przyszłości, utworach fabularnych, w ogromnych traktatach podejmujących problematykę filozofii przyszłości, w zabawnych powiastkach typu walterowskiego (*Bajki robotów*, 1964; *Cyberiada*, 1965), w wyrafinowanych intelektualnie, choć również pełnych komizmu groteskach (*Kongres futurologiczny*, 1973), jak i w książkach-apokryfach, w których zaciera się granica pomiędzy realnością i fikcją, a język oraz aparatura myślowa respektują rygory myślenia naukowego (*Golem XIV*, 1981; *Biblioteka XXI wieku*, 1986).

Gdyby jednak poszukiwać jeszcze bardziej jednoznacznych precyzacji, trzeba by powiedzieć, że wszystkie utwory powieściowe Stanisława Lema, zaludnione galerią niebanalnych postaci literackich, posiadają tak naprawdę tylko jednego, wszechobecnego bohatera — poznanie. Ono właśnie jest siłą napędową Bregga z *Powrotu z gwiazd* (1961), Gregory’ego ze *Śledztwa* (1959), Kelvina z *Solaris*, Hogharta z *Głosu Pana*, czy wreszcie Pirxa z *Opowieści* (1968). Sam zaś Lem, niczym wszechwładny demiurg tego imaginacyjno-epistemologicznego iluzjonu, przekłada te figury na szachownicy powieściowego świata, rozgrywając wciąż nowe partie w poszukiwaniu coraz to innych odpowiedzi na pytania: o możliwości i granice ludzkiego poznania, o etykę w sytuacjach ekstremalnych, o rolę przypadku w zagęszczonych układach społecznych, o konsekwencje przekształcania świata i skutków politycznych „pedagogik”, o zasady współistnienia różnoimiennych kultur i cywilizacji (problem Innych), o perspektywę człowieka w świecie technologii, wymykającej się nieuchronnie spod jego kontroli (proliferaacja informatyki, golemizacja „sztucznej inteligencji”). Jakkolwiek ciekawy byłby bohater tej prozy, nie on jest jednak jej podmiotem. Nie jego uczucia czy psychologia są tu ważne. Istotny jest sposób jego myślenia i rozumienia świata, a także konsekwencje przyjętych przez niego hipotez na temat badanej przez niego rzeczywistości. I jakkolwiek byśmy nie czytali tej pro-

zy, zawsze zauważymy, że jej ewolucja przebiega od wiary w możliwości poznawcze i moralność istoty ludzkiej do zwątpienia w jej rozumność i zdolność do rozumnego przekształcania świata, w którym żyje i działa. O ile utwory Lema pisane w latach 50. dawały się jeszcze przypisywać do utopijnej linii fantastyki, o tyle utwory późniejsze mieszczą się całkowicie w nurcie antyutopijnym, choć nader daleko im do tej twórczości, która specjalizuje się w coraz wymyślniejszych sposobach wizualizacji zagłady świata. Pisarza interesuje głównie sytuacja, w której człowiek czy cywilizacja zostają postawione wobec sytuacji czy problemów zupełnie dla siebie nowych i niespodziewanych — głównie wynikających z potrzeby penetracji przestrzeni kosmicznej. Nie znajdziemy jednak w jego utworach człokształtnych lub człokopodobnych przybyszów z kosmosu, z którymi można pogawędzić za pomocą elektronicznego translatora. Wyobrażenia ludzkie o kosmosie i zamieszkujących go przedstawicielach innych cywilizacji niemal zawsze okazują się tak schematyczne, że bohaterowie tej prozy zmuszeni są odrzucić dotychczasowy bagaż wiedzy, przyzwyczajęń i oczekiwań, a przede wszystkim bezwartościowe w tej sytuacji procedury poznawcze. Grupa badaczy z *Inwazji z Aldebarana* na próżno usiłuje wyjaśnić cel przybycia na ziemię dziwnych, roślinopodobnych „zarodników”; załoga międzyplanetarnego krążownika z „*Niezwykłego*” odlatuje zdziesiątkowana z planety Regis, nie mogąc nawet wyrzucić zemsty na nekrosferycznej „chmurze”; bohaterowie *Solaris* stają wobec zagadkowego mózgu-oceanu, który nie kwapi się do „rozmowy” z naukowcami; kosztowne prace, finansowane przez rząd i kręgi wojskowe, nad zbadaniem neutrinowego „listu” z kosmosu w *Głosie Pana* kończą się pełnym niemal fiaskiem, pozostawiając jej uczestników w gorzkim przeświadczeniu, że wobec zagadkowych nadawców jesteśmy jedynie galaktycznymi neandertalczykami.

Szczególnie dwa ostatnie utwory, najwybitniejsze chyba w twórczości tego pisarza, zdradzają jego sposób myślenia, a zarazem przyczyny jego pesymizmu, co do szans na kontakt z inną cywilizacją, a co gorsza, co do zdolności człowieka do rozumnego i odpowiedzialnego sterowania rozwojem gatunku. Dlatego warto przypomnieć je uważniej. *Solaris* — to pozycja już absolutnie klasyczna, nobilitowana dwoma głośnymi ekranizacjami (Andrieja Tarkowskiego i Stevena Sodebergha), uważana za jedną z najwybitniejszych pozycji w klasycie science fiction. Autor, rozważając problematykę kontaktu człowieka z pozaziemską inteligencją, wyjątkowo efektywnie połączył w niej walory przygodowe z problematyką filozoficzną. Utwór ten, powstały skądinąd w dobie szczególnie intensywnej nadziei uczonych na nawiązanie dialogu z inną cywilizacją (m.in. uruchomienie przez NASA gigantycznego projektu nasłuchowego SETI — Search for Extraterrestrial Intelligence), już

wtedy zaskakiwał pesymizmem w ocenie szans poznawczej eksploracji kosmosu. Pisarz, przychyłając się do powszechnej wówczas w gronie specjalistów tezy o statystycznym rozkładzie inteligencji w kosmosie, wyrażał jednocześnie chłodny sceptycyzm co do szans na jakikolwiek sensowny dialog z inną cywilizacją, a szczególnie wobec jego poznawczych i technologicznych profitów. Powieść ukazuje frustrujące poznawczo, a zarazem dramatycznie moralnie położenie grona badaczy (Gibarian, Sartorius, Snaut) na stacji badawczej na Solaris, próbujących nawiązać kontakt z pokrywającym planetę autarkicznym oceanem-mózgiem, który w odpowiedzi na naświetlanie jego powierzchni promieniami Roentgena obdarza ich towarzystwem wyposażonych w ludzkie cechy, choć niezniszczalnych fantomów, stanowiących materializację ich zapisów pamięciowych lub projekcji podświadomości (np. wyrzutów sumienia, wyobrażeń z pogranicza psychopatologii). Efektem jest załamanie się programu badań i śmierć kierownika stacji. Oddelegowany na Solaris w celu zbadania sytuacji, psycholog dr Kelvin najpierw staje w obliczu kompletnego — ukazanego w poetyce powieści grozy — chaosu oraz dostrzegalnych u wszystkich objawów paranoi, a wkrótce sam staje twarzą w twarz z wierną neutrinową kopią swojej żony Harey, zmarłej przed laty samobójczą śmiercią. Drastyczne próby wyzwolenia się od „gościa” udowadniają mu (podobnie jak wcześniej innym mieszkańcom stacji), że ma do czynienia z istotą w niczym psychicznie nie różniącą się od człowieka, co nadaje jego ponawianym wysiłkom wyzwolenia się od sztucznej małżonki cechy ewidentnej zbrodni (np. wystrzelenie przemocą w kosmos).

Udręczeni przerastającą ich odporność sytuacją, nie umiając do końca ocenić intencji rozumnego „oceanu”, uczeni podejmują kolejną próbę kontaktu, emitując w jego głębinie encefalogram Kelvina, by przekazać w ten sposób obraz swoich stanów psychicznych. W tym samym czasie, za plecami psychologa, w którym niedostrzegalnie dla niego samego budzi się uczucie do „zmartwychwstałej” żony, wykorzystując jej rozterkę tożsamości, Snaut i Sartorius namawiają ją na udział w eksperymencie, który kończy się jej anihilacją, czyli — inaczej mówiąc — śmiercią poprzez dematerializację. Definitywne zniknięcie wszystkich — dotąd powracających — fantomów stanowi dowód rozumiejącej reakcji zwrotnej, potwierdzenie „psychicznej” organizacji solaryjskiego oceanu, równocześnie jednak zamyka ten tajemniczy „dialog”, pozostawiając bohaterów z poczuciem klęski poznawczej oraz moralnego krachu.

Ważnym elementem powieści są jej apokryficzne partie, ukazujące losy — obejmującej prace wielu generacji uczonych — solarystyki, całkowicie bezradnej wobec nieprzeniknionego sensu eruptywno-architektonicznej produktywności gigantycznego mózgu (np. „mimoidy”, „symetriady”) oraz jego

kosmogonicznych umiejętności (zdolność oddziaływania na położenie planety). Imponując erudycją i hipotezotwórczą inwencją (postmodernistyczna gra naukowymi koncepcjami), a jednocześnie krytyczny wobec mechanizmów rządzących rozwojem nauki (pamfletowy ton rekonstrukcji stanu badań planety), pisarz ukazuje bezradność człowieka w obliczu zagadek wszechświata, nieumiejętność wyjścia poza własne kategorie myślowe i logikę. Centralne usytuowanie w powieści psychologiczno-moralnego dramatu uczonych (nieprzypadkowe skojarzenia z Dostojewskim i Kafką), którzy na antypodach kosmosu stają wobec podstawowych pytań ludzkości, a zarazem wyeksponowanie sytuacji ślepej uliczki, w jakiej znalazła się solarystyka, są wyrazistymi sygnałami ewolucji poglądów pisarza, odchodzącego od optymistycznej wizji eksploracji kosmosu, wąpiącego w gotowość człowieka do podjęcia galaktycznych wyzwań oraz sugerującego dobitnie skupienie uwagi na penetracji tajemniczych i mrocznych obszarów człowieczej duszy.

Jeszcze głębszy pesymizm poznawczy promieniuje z późniejszej o 7 lat, apokryficznej powieści Lema, stanowiącej przełomowy punkt w ewolucji pisarza, który zainicjował nią wyjątkowo intensywny proces eseizacji prozy, odchodząc od tradycyjnych wyznaczników powieściowych i nasycając ją specjalistycznym dyskursem naukowym w stopniu nieznanym dotąd polskiej literaturze pięknej. Utwór ten, poprzedzający o 3 lata uruchomienie stałej sekcji SETI przy Międzynarodowej Unii Astronomicznej (1971), odpowiedzialnej za kolejny etap programu skanowania kosmosu w poszukiwaniu śladów obcej inteligencji, powszechnie uznany za nową kartę w dziejach astrofizyki i kosmologii, jawi się jako dzieło prekursorskie, przenikliwe antycypujące głęboki kryzys, jaki obserwujemy obecnie, po 35 latach prac wszystkich zespołów (m.in. internautów-wolontariuszy włączonych w 1999 roku w program SETI@Home).

Powieść Lema, stanowiąca specyficzną odmianę fabularyzowanego eseju naukowego, opowiada dzieje supertajnego programu naukowego MAVO (Master Voice), uruchomionego przez rząd USA po ustaleniu — na drodze serii nieprawdopodobnych przypadków (zjadliwy obraz niekompetencji środowisk naukowych) — że rejestrowany przez obserwatorium Mount Palomar „szum” kosmiczny, odbierany z rejonu galaktyki Małego Psa stanowi w istocie emitowany od 30 miliardów lat neutrinowy komunikat. Przedstawiona w postaci apokryfu, pośmiertna epistolograficzna relacja genialnego matematyka, prof. Piotra E. Hogartha, członka Rady Naukowej projektu, ukazuje dzieje programu oraz przynosi rozważania na temat zagadkowej natury przekazu, który jest tyleż kodem, co i recepturą technologiczną, pozwalającą wyprodukować m.in. Żabi Skrzek (galaretowata masa, wyzwalająca

energię na drodze „zimnych” reakcji jądrowych). Wkrótce okazuje się również, że neutrinowy „deszcz” stanowi z jednej strony rodzaj niewidzialnego „inkubatora”, wspomagającego mechanizmy powstawania życia, co w nowym świetle stawia początki bioewolucji na Ziemi, z drugiej jednak umożliwia uruchamianie efektu Trexu, pozwalającego na wywołanie w dowolnym miejscu globu i kosmosu wybuchów jądrowych o pożądanej konfiguracji i mocy. Ponieważ postęp prac badawczych nieustannie kontrolowany jest przez Pentagon, Hogarth i jego współpracownik Protero utajniają eksperymenty jądrowe, zdając sobie sprawę z ich śmiertelnego zagrożenia dla ludzkości. Kiedy jednak okazuje się, iż Trex posiada niemożliwe do złamania zabezpieczenia, ujawniają wyniki swych badań, co kończy się oskarżeniem ich o zdradę stanu i przejęciem programu przez armię.

Po jakimś czasie ewidentne fiasko doświadczeń Pentagonu doprowadza do wznowienia prac MAVO oraz ujawnienia drugiego tajnego zespołu badawczego (Ghost Voice), który przedstawia koncepcję alternatywną: neutrinowy przekaz jest formą erupcji, wyzwolonej przez ginący kosmos, nieintencjonalnie „adresowany” do nowego kosmosu. Niemożność weryfikacji obu hipotez i brak ich militarnych zastosowań doprowadza do powolnego wygaszenia prac wszystkich zespołów. Pośmiertne zapiski Hogartha pozwalają ustalić, że nigdy nie zwątpił w intencjonalność „listu”, widząc w „zabezpieczeniu” jego kodu przed niszczyielskim użyciem dowód rozumnej intencji nadawców, zaś w jego mistrzostwie technologicznym dowód takiej wyższości cywilizacyjnej, która uniemożliwia porozumienie. „List” z kosmosu musi pozostać zatem — według niego — dla ludzkości taką samą zagadką, jak schemat komputera dla neandertalczyka.

Ponieważ Master Voice przedstawiony został przez Lema jako najtrudniejszy poznawczo problem ludzkości, notatki bohatera-uczonego przynoszą wybitnie specjalistyczne rozważania z zakresu astrofizyki, matematyki, kosmologii i wielu innych dyscyplin, uwzględniające alternatywne stanowiska innych badaczy projektu (Y. Baloyne, D. Prothero, T. Dill, S. Rappaport, W. Eeney). W ten sposób powieść wkroczyła w sferę, gdzie granice pomiędzy rzeczywistymi koncepcjami naukowymi a hipotezami „literackimi” zacierają się, a horyzont intelektualny przedstawionych w niej koncepcji uczynił z dzieła zjawisko unikalne w skali światowej. *Głos Pana* stanowi też jednak pożegnanie Lema na długie lata z eksploracyjnym modelem fantastyki naukowej i twórczością powieściową (powróci do niej dopiero po 20 latach *Fiaskiem*, 1987 i *Pokojem na Ziemi*, 1987), a zarazem ostateczne rozstanie z wiarą w możliwość zmiany człowieka oraz zwiększenie jego szans rozwojowych na drodze kontaktu z inną, bardziej rozwiniętą cywilizacją. Mimo posępnego obrazu ludzkości, ukazanej jako gatunek przepojony instynktem

zła, rządzonej przez elity polityczne, gotowe w imię irracjonalnej doktryny militarnej pchnąć świat w otchłań atomowej zagłady, a także mimo jadowitego obrazu środowisk naukowych, na dnie tego utworu ukrywa się wiara w racjonalność obrazu wszechświata, w możliwość uczenia się jego „języków”, a przede wszystkim w etyczny imperatyw, rządzący poczynaniami każdego wielkiego rozumu.

Oczywiście, nie zmienia to faktu, że ludzkość w przekonaniu Lema nie jest w stanie ponieść odpowiedzialności za swoją przyszłość. Co gorzej, tak naprawdę nie potrafi prawidłowo rozpoznać mechanizmów rządzących światem, a tym bardziej przewidzieć skutków swoich działań. Stąd ceną za rozbudzone urojenia poznawcze stają się bolesne porażki poznawcze i coraz dotkliwsze uświadamianie sobie własnych ograniczeń. Tak oto wiedza i kultura w tym samym stopniu okazują się narzędziem poznania świata, jak i jego mistyfikacji. Jako gatunek bowiem okryliśmy się, gwarantującą na pozór bezpieczeństwo, tarczą nauki, religii, mitów, legend i totemów, które pomagają nam w poznawaniu i ujarzmianiu świata. Nieustannie jednak deformuje ona faktyczny obraz rzeczywistości, którą jakoś tam tłumaczymy sobie przy pomocy uczonych i duchownych „na nasze”, ale nie umiemy dotknąć jej istoty. Być może w niektórych kwestiach jest tak, jak orzekamy o świecie, w innych jednak na pewno jest „jakoś” inaczej, bo są wymiary, w których nam się poznawczo nie poddaje i broni wstępu, choć szturmujemy go w pancerzu wiedzy i metafizyki, jaki od tysięcy na siebie nakładaliśmy.

Jak zatem postępować? Czy rozłożyć bezradnie ręce i oddać się hedonizmowi, jak społeczeństwo w *Powrocie z gwiazd*, czy też wciąż na nowo podejmować wysiłki poznawcze, w nadziei na chwilowy choćby błysk iluminacji? Zważywszy konsekwencję, z jaką Lem każe swym bohaterom rozbijać sobie głowę o twarde mury Nieznanego, sądzić by można, że nie widzi on innego sposobu na podtrzymanie nadziei na harmonijny rozwój ludzkości, jak tylko poprzez ponawianie zabiegów o zdobycie choćby pozycji uboższego krewnego w piramidzie wysokich rozumów w kosmosie. Zyski poznawcze takiego proceduru jeżdżą jednak na pstrym koniu przypadku. Bohaterowie *Solaris* nie dowiedzieli się właściwie niczego o planetarnym mózgu, za to postawieni nos w nos ze zmaterializowanymi projekcjami własnych win, strachów i niespełnień ujrzeli nagle siebie w przerażającej nagości. Lektura kosmicznego listu w *Głosie Pana* nie odpowiedziała badaczom, kim są nadawcy, stworzyła jednak nowe gałęzie wiedzy i dała pracę sporemu gronu uczonych oraz zajęcie rzeszom entuzjastów i maniaków. Nauka w swych nieustannych zrywach pozwala ogarnąć coraz to nowe przestrzenie, przynosi coraz to nowe odpowiedzi na pytania stawiane światu. Niekiedy, są to jednak odpowiedzi frustrujące, a co gorsza, na zupełnie inne, często niezadane pytania.

Ceną, jaką przyjdzie zapłacić za człowiecze urojenia, pychę i niewiedzę, nie będą, niestety, tylko Himalaje cierpliwego, zaczernionego papieru, a zatem gigantyczny śmietnik niesprawdzonych koncepcji oraz idei, które po wielu latach oglądać się będzie jako rodzaj kolekcji chimer, lecz również, a może przede wszystkim, nieodwracalne w ich następstwie zdarzenia, które w postaci cywilizacyjnych katastrof, wyniszczających wojen i nieobliczalnych rewolt lub rewolucji zostaną wypisane na ludzkiej skórze. I tutaj staje przed problemem, który zawsze pasjonował Lema, a mianowicie socjotechniki oraz prewencyjnego sterowania socjostazą. Powracał do niego w *Summie technologiae, Edenie* (1959), *Dialogach, Pamiętniku znalezionym w wannie, Powrocie z gwiazd, Cyberiadzie* (1965), *Wizji lokalnej* (1982).

Pomysł uwolnienia człowieka od instynktu agresji, a zatem fanatyzmu i innych pokrewnych diabelstw ludzkiej duszy, wydawać się musi na pierwszy rzut oka pociągnięciem rozsądnym, jednakże śledząc miotanie się bohaterów *Powrotu...*, uświadamiamy sobie, jak daleko idące zmiany w każdej dziedzinie może przynieść taka decyzja. Ceną za bezpieczeństwo i harmonię międzyludzką, uzyskane na drodze betryzacji (wykastrowania instynktu zła) stała się rezygnacja z aspiracji poznawczych i eksploracyjnych, zanik społecznego ducha aktywizmu, wygaśnięcie potrzeby ekspansji, gruntowne zmiany w moralności, aksjologii, obyczajowości i wszelkich innych sferach życia ludzkiego. Pytanie o skutki ingerencji w socjostazę, opisane w tej książce, nie było wbrew pozorom pytaniem abstrakcyjnym, skierowanym ku odległej przyszłości, lecz problemem, który musiał żywo zaprzętać człowieka początków lat sześćdziesiątych, zwłaszcza w kraju takim jak PRL, gdzie codziennie przekonywano obywatela, że wszystko, co narzuca i egzekwuje władza, realizuje się dla jego dobra i szczęścia. Nie przypadkiem tak często wraca w twórczości Lema motyw sterowania społeczeństwami przy pomocy informacji. Groteskowa opowieść o zwyrodniałym modelu życia urzędników-agentów w *Pamiętniku znalezionym w wannie* była też próbą pokazania skutków wyizolowania pewnej zbiorowości, a potem poddania jej ciśnieniu oraz wtrącenia w mechanizm ściśle określonych dyrektyw i procedur. Tego typu dewiacje — ukazane również w *Wizji lokalnej* na przykładzie Kurdlandii — rodzić może każdy system społeczny, w obrębie którego działa informacja. Może ona doprowadzić do pełnego przeprofilowania aspiracji i celów członków danej aglomeracji społecznej, zmienić sposób ich myślenia, reagowania na świat zewnętrzny, a także sposób rozumienia i odczuwania go. Nawet zakładając racjonalizm i dobrą wolę dążeń inżyniera społecznego, nie istnieje możliwość uwzględnienia interesów wszystkich jednostek, ani harmonijnego rozkładu dystrybucji dobra (albo oczywiście zła, podającego się

za dobro). Zawsze pojawić się musi jakaś forma przymusu i poczucie zawiedzionych nadziei, a wtedy uruchomiony być może nieprzewidywalny i skomplikowany mechanizm wewnętrznych zaburzeń, które doprowadzą do rozpadnięcia się całego układu, albo — wręcz przeciwnie — do powstania „takiego systemu, który będzie szkodliwy, zły [...], a jednak przejawia znaczną spójność wewnętrzną, znaczną trwałość, globalny wzrost produkcji, niezależność wewnętrznym oscylacjom oraz sprawiedliwy i powszechny rozdział dóbr. System taki narzuci uniformizm myślenia i działania nie terrorem ani przynusem fizycznym, ale stworzonymi konwencjami światopoglądowymi, artystycznymi, metodologicznymi, pedagogiki, życia towarzyskiego, rodzinnego...”

Nader łatwo można było dojść do wniosku, że opowiadając o koszmarach betryzacji w *Powrocie... czy tyranii bystrów* (wirusów dobra) w *Wizji lokalnej*, Lem pozornie tylko martwi się uszczęśliwiającymi praktykami, które czekać mogą ludzkość w przyszłości (dałby bowiem Bóg tylko takie zmarzwienia!), a w rzeczywistości używa problemu paradyzacji jako wyrafinowanej alegorii zniewolenia — by rozprawiać o niebezpieczeństwach „tu i teraz”, a zatem o inżynierii społecznej w czasach PRL-u. Oczywiście, wolno było tak myśleć, zwłaszcza w czasach stanu wojennego, ale w rzeczywistości Lema interesował i frasował problem nieziszczalności wszystkich wielkich projektów społecznych i niebezpieczeństw inżynierii socjoewolucyjnej, nawet wtedy, gdy oparte są faktycznie na ideałach demokracji (jak opiekuńcza Luzania, frustrująca swych obywateli niemożnością ekspresji zła). Nie przypadkiem mędrzec Anix twierdzi, że „tryumfująca idea, zwrócona w świat czy w zaświat, nie tam prowadzi, gdzie wskazuje”, a inny nieortodoksyjny myśliciel Xaimarnox dowodzi, że utopia, w której wszyscy są nakarmieni i bezpieczni „to katastrofa: powszechny raj, w którym każdy siedzi z własnym piekłem w sobie, i nie może dać drugim do posmakowania tego piekła. I niczego nie pragnie tak bardzo, jak udzielić innym tego smaku”. Jak widzimy, przekonanie pisarza o nieszczęściu, jakim są obiecujące raj na ziemi ideologie, dopełnia przykra świadomość, że nie ma innej drogi dla ludzkości, o ile ma sobie nie uczynić krzywdy, jak skrepowanie jej w bioetyczny „kaftan bezpieczeństwa”. Jak jednak wiadomo, w psychiatrycznym kaftanie jest może i bezpiecznie, bo furia nie robi sobie krzywdy, ale na pewno trudno się w nim czuć szczęśliwym.

Poza tym — twierdzi Lem — nie sposób obliczyć wszystkich czynników, odgrywających istotną rolę w życiu tego najbardziej skomplikowanego układu, jakim jest ludzkość. Rządzi się ona bowiem, jak każdy układ elementów, zasadami stochastycznymi, więc nieobliczalną rolę odgrywa w niej zwykły przypadek. Już jedna z jego wczesnych książek, jaką było *Śledztwo*



(1959), pod płaszczykiem intrygującej zagadki kryminalnej (znikanie zwłok w londyńskich kostnicach) przemyśla kwestię konieczności uwzględnienia tego czynnika w życiu społecznym. Ale jak włączyć przypadek w ogólną strategię postępu i zmian, jakie muszą się dokonywać w ogromnym mrowisku ludzkim na drodze do przyszłości. Trudno przecież zgodzić się na sytuację, ciekawie zobrazowaną w *Katarze* (1976), w której mechanizm losowy rodzić będzie zagadki świata i sam je rozwiązywać. Nie ma oczywiście ucieczki z tej ogromnej ruletki, jaką jest Ziemia i wirujący wokół kosmos, jednakże trudno pogodzić się z rolą jednej z wielu miliardów kul, która z takim samym prawdopodobieństwem trafi na wielką wygraną o lepsze jutro, jak i na puste pole, oznaczające nieszczęście, krakę lub zwykły zmierzch naszych marzeń, tęsknot i pożądań. Jeśli są jakieś obiektywne prawa, rządzące tą monstrialną loterią, na której postawione zostały nie tylko nasze osobnicze losy, ale przede wszystkim — bo to je bezlitośnie warunkuje — losy narodów, państw, kontynentów, ziemskiego globu, układu planetarnego, czy wreszcie całego wszechświata, to ludzkość musi podjąć trud obliczenia trajektorii tego jednostkowego i zbiorowego lotu w przyszłość. Bez względu na to, jak trudne i czasochłonne może być to zadanie.

Ta droga ku poznaniu i zrozumieniu reguł świata, z którym — powiązani nierozzerwalnym węzłem — podążamy w mrok jutra, pozostanie jednak na zawsze pełna zasadzek, jeśli z naszej dociekliwości poznawczej wyłączymy nas samych. To ostatecznie my jesteśmy podmiotem i narzędziem poznania. To w naszych umysłach zapisuje się i filtruje ten potok zjawisk, zdarzeń i procesów fizycznych oraz dziejowych; w nas też dokonuje się ich synteza. Jacy są zatem bohaterowie powieści Lema? Wiemy już, że opętani ciężką chorobą ciekawości i żądzą rozumienia. Na ogół są to uczeni, badacze lub innej maści poszukiwacze prawdy o świecie, których emocje i uczucia zostały zdominowane przez intelekt. W tym gronie najbardziej „ludzka” (a zarazem ulubiona) postacią Lema jest gapiowaty i roztargniony pilot Pirx. Pisarz poddaje go w *Opowieściach* próbom o zwiększającym się stopniu komplikacji. W sytuacji, gdy zawiedli specjaliści, wkracza po nich, by „posprzątać”, a w niebezpiecznych sytuacjach pomaga mu nieodmiennie przypadek i intuicja. W *Odruchu warunkowym* postępuje wbrew logice i ratuje życie..., widząc na patelni omlety; w *Rozprawie* ratują go błysk przeczucia i niepewność; w *Ananke* na ślad rozwiązania tragedii naprowadzają go podejrzliwość i nieufność itd. A zatem co jest najgłębsze, charakterystyczne i niepowtarzalne w człowieku? Suma defektów, mankamentów i niedoskonałości — odpowiada Lem. „Człowieczeństwo jest tym, czym chcemy być, a nie potrafimy, nie możemy, nie umiemy, to jest po prostu dziura pomiędzy ideałami a realizacją”.

Obraz człowieka jako istoty dwoistej, rozdartej między marzenia a istnienie, powinność a byt, ideał a jego brak — to figura chętnie eksponowana przez filozofów i pisarzy. Świetnie określił to wewnętrzne rozdwojenie człowieka Czesław Miłosz w *Dolinie Issy* ustami czarownika Masiulisa: każdy człowiek jest owcą, nad którą nadbudowana jest druga owca, którą chce być, a nie jest. Motyw ciągłego wznoszenia się istoty ludzkiej ku innemu i lepszemu często wraca w twórczości Lema, który uważa, że jak długo nie nauczymy się wznosić ponad siebie i sięgać do ukrytych w nas głęboko rezerw człowieczeństwa (zarówno poznawczych, jak i moralnych), tak długo nie mamy czego szukać w kosmosie, gdyż inaczej na pewno poniesiemy ze sobą pomiędzy gwiazdy tego samego demona pychy, żądzę władzy i zła, który od zarania *homo sapiens* kala jego historię krwawym pasmem zbrodni i wojen. Czy możliwe jest odcięcie się od takiej przeszłości? Pisarz nie ukrywa, że chciałby, aby tak było, ale nie jest w stanie uwierzyć, by drapieżna małpa, jaką jest wciąż człowiek, który wykosił w walce o środowisko wszystkich konkurentów na ziemskim globie, mogła się zmienić, tym bardziej, że maczugę wymienił na guzik wyrzutni raketowych.

Istnieje spora ilość problemów, których Lem nie mógł albo nie chciał rozwiązać na planie powieściowym. Sięgnął w związku z tym po formułę naukowego eseju. Na linii tej umieścić należy utwory takie, jak: *Dialogi*, *Summa technologiae*, *Filozofia przypadku*, *Fantastyka i futurologia* oraz *Rozprawy i szkice*, nie licząc ogromnej liczby tekstów opublikowanych na łamach czasopism polskich i zagranicznych. Tematyka jest tak różnorodna, a zarazem szeroka, że łatwo dojść do wniosku, iż znajduje się w niej niemal wszystko. Jeśli spojrzymy na *Filozofię przypadku* czy *Rozprawy i szkice*, ujrzymy w nich teoretyczne rozprawy z doktrynami strukturalistycznymi, z Ingardenowską fenomenologią, socjologią dzieła literackiego, semiologią czy teorią informacji, zaprzęgniętą do badań lingwistycznych; znajdziemy tu poza tym próby interpretacji dzieł w kategoriach losowości i przypadku, analizy genetycznych uwarunkowań wytworów kultury i uwikłań jej idiomatyki oraz paradygmatycznych motywów w historię gatunkowej obyczajowości itd., itd. Nie cofał się przy tym Lem w swoich rozważaniach przed analizą konkretnych utworów, opiniami na temat kosmicznych cywilizacji, poznania pozarozumowego czy najnowszych koncepcji historiozoficznych. W jego esyście widoczna jest autentyczna pasja filozoficzna, która każe wkraczać w najtrudniejsze obszary nauki i podejmować wyprawy w takie obszary poznania, w których goszczą tylko najwybitniejsze umysły ziemskiego globu. Co zaś najciekawsze nawet wtedy, gdy podejmował dyskusje z najnowszymi teoriami naukowymi, roztrząsanymi na ogół tylko w elitarnym gronie uczonych, Lem pozostawał sobą, a zatem pisarzem o nieokiełznanym tempera-

mencie, wykorzystującym w swych szkicach z jednakową łatwością sofizmaty logiczne, jak i hermetyczne wywody astrofizyczne, ustalenia retoryki łacińskiej i skomplikowane koncepcje przyrodoznawcze, a co więcej, potrafiącym łączyć filozoficzną precyzję z pasją do anegdoty i skłonnością do gaudulstwa.

Szczególną na tej eseistycznej liście książką jest *Fantastyka i futurologia* (1970). Autor dokonał w niej analizy współczesnej mu światowej science fiction, pragnąc pokazać jej możliwości i ograniczenia. Przegląd ten, dokonany na monstrualnie wielkim materiale, przekonał go, iż gatunek, w którym pokładał tak wielkie nadzieje, nie spełnił nawet w drobnej części jego oczekiwań. Normą fantastyki naukowej jest bowiem — jak odkrył — sztampa myślowa, schematyzm poznawczy i stereotyp fabularny. Jak zatem powinien zachować się w tej sytuacji pisarz, przypisujący literaturze dużą rolę, wybierający ją właśnie jako narzędzie komunikacji ze współczesnymi? Czy przytknąć na wszystko oczy i zapatrzywszy się w swoją misję nadal płodzić kolejne fantastyczne powieści, opowiadające o bezradności ludzkiego rozumu wobec zagadek wszechświata, czy też rozpocząć pracę „u podstaw” i wypowiedzieć wojnę literaturze, która zdradziła — oczywiście, jego zdaniem — intelektualne ideały „twardej” science fiction? A może celem działania takiego pisarza powinno być ukazywanie intelektualnych mistyfikacji, jakim ulegają największe autorytety, demaskowanie uproszczeń w podejmowanych przez nich próbach opisu świata, polemika z niedowarzonymi koncepcjami naukowymi, piętnowanie schematyzmu poznawczego, kłótnia o imponderabilia i „powszechniki”, pogłębiona refleksja nad istotą literatury i człowieka? Wszystko to jest w tej twórczości, prócz niewzruszonej wiary, że warto podjąć wysiłek nawracania fantastyki na właściwą drogę, a co więcej, ufności we własne posłannictwo na jej terenach.

Ewolucja pisarstwa Stanisława Lema poświadcza, że jego wątpliwości co do roli, którą chciał odgrywać na terenie *hard science fiction*, a zatem literatury respektującej aktualny stan wiedzy przyrodoznawczej i jej naukowe procedury, z latami rosły, a z czasem wyprowadziły go poza obszar prozy fabularnej. Od końca lat 60. powieściopisarstwo uprawiał coraz rzadziej, oddając się chętniej różnym odmianom eseistyki i felietonistyki. Jego przemiana przypomina nieco *casus* Witkacego, który po latach uporczywego artykułowania swych filozoficznych, estetycznych i historiozoficznych poglądów, u schyłku życia zabrał się za hybrydyczne formy prozatorskie i eseistyczne, w których dyskutował ze wszystkimi i wszystkim, udzielając nawet porad, jak posługiwać się szczotką do zębów, żyletką i mydłem. Analogia to, oczywiście, trochę żartobliwa, niemniej jest coś symptomatycznego w Lemowym rozczarowaniu możliwościami literatury fantastyczno nauko-

wej, a być może w ogóle powieściopisarstwem. Pierwszym wyrazistym sygnałem tego rozczarowania były artykułowane właśnie w *Fantastyce i futurologii* wątpliwości co do tego, czy da się namówić przedstawiciele fantastyki do większego wysiłku intelektualnego i wpłynięcia na głębsze wody problemowe (niejednokrotnie porównywał te swoje próby do ewangelizacji, podjętej przez misjonarza w burdelu), kolejnym powstałe w początkach lat 70. dwie introdukcyjistyczne książki: *Doskonała próżnia* (1971) i *Wielkość urojona* (1973). Pierwsza z nich zawiera zestaw wstępów i przedmów do nieistniejących utworów i rozpraw naukowych, druga zaś prezentuje przyszłe, a więc wyobrażone, gałęzie sztuki i dyscypliny badawcze. Ten niezwykle pomysł, wywodzony jak najśluszej z twórczości Jorge'a L. Borgesa, stanowi swoiste wotum nieufności wobec literatury. Jest bowiem czymś w rodzaju nadbudowanego nad nią piętra — tego, które nie istnieje, ale jest możliwe. Skądinąd oryginalny to przejaw twórczej dezynwoltury i rozrzutności, bo pisarz przedstawił czytelnikom szczegółowe omówienia utworów i ich receptury konstrukcyjne, w sytuacji, gdy mógłby je po prostu napisać, ale mu się to z różnych powodów nie opłacało lub nie chciało. W tej zaskakującej decyzji tkwiło zatem przekonanie, że nie warto albo szkoda czasu na pracowite budowanie powieściowych światów, z ich bohaterami oraz otaczającą rzeczywistością, skoro wystarczy przedstawić wyłącznie sam pomysł, a następnie zasymulować, że został już obleczony w narracyjną skórę. Tego typu decyzja zdradza oczywiście przeświadczenie pisarza, że ważniejsze jest wymyślanie koncepcji i artystycznych „przepisów” niż pracowite budowanie gmachów z fikcji i udawanie, że istnieją naprawdę. Dla niektórych, naturalnie, był to rodzaj zdrady literatury na rzecz substytutów, ale sam Lem rozumiał swoje apokryfy jako formę akcji ratunkowej, polegającej na wskazywaniu literaturze dróg ewakuacji na niezagrożone wyschnięciem tereny, bo „literaturę odnawiać, literaturze pomagać, literaturę przysposabiać do świata można tylko z zewnątrz, rozsadzając jej zakrzeple postaci, że z jej wnętrza, tylko z niej samej, ratunek przyjść nie może”. Jest to, oczywiście, przekonanie kwestionujące wysokie notowania, jakie w odbiorze społecznym zachowała powieść, a także zadufanie, które zdaje się być jej udziałem. Powieściopisarstwo, zdaniem Lema, „na pewno nie może zbawić świata, ani go odmienić i nie uczyni tego tradycyjnie, czy nowatorsko pisana [powieść — red.]. Niemniej może być narkotykiem i odżywką mrzonek, snów, narkozą, albo nieustającym wysiłkiem ogarniania rzeczy ludzkich i antycypowania ich przyszłego losu”.

Każdy przyzna zapewne, że zawarty w ostatnich słowach tego cytatu akcent konsolacyjny brzmi mało pocieszająco, przynajmniej dla tak maksymalistycznego pisarza, jak Lem. Skoro literatura jest tylko rodzajem neuro-

leptyka, ale nie ma już żadnego realnego wpływu na czytelników, a zatem i losy świata, to właściwie pisarzowi pozostaje jedynie rola rozweselacza, co oczywiście Lem robił niejednokrotnie, i to z powodzeniem (*Dzienniki gwiazdowe*, 1957; *Księga robotów*, 1961; *Bajki robotów*, 1964; *Cyberiada*, 1965), ale nie taka misja była obiektem jego ambicji. W rzeczywistości Lem zawsze czuł się nauczycielem i kaznodzieją, powołanym do oświecania oraz pouczenia, a zarazem — jako ten, który zwykle widział więcej i dalej — obarczonym obowiązkiem ostrzegania. Tymczasem — jak przekonywał się coraz boleśniej z upływem lat — ani narzędzie transmisji z ludzkim światem nie okazało się dostatecznie sprawne, ani ci, do których pragnął mówić, wystarczająco pojętni i zainteresowani przyszłością ludzkiego gatunku.

Ostatnią fazę twórczości pisarza, przypadającą na lata po 1989 roku, wyznaczają utwory, w których z pełną siłą do głosu doszła już jego niecierpliwość oraz — nacechowana publicystyczną pasją — potrzeba wypowiedziania się na tematy bieżące. Być może, zobaczywszy po upadku komunizmu szansę na wywieranie realnego wpływu na sposób myślenia swoich współczesnych o sprawach bezpośrednio ich dotyczących, Lem postanowił zejść z naukowych obłoków na ziemię. Powstałe w ostatnim piętnastoleciu jego życia felietony, sylwy i eseje zdradzają jak zawsze autentyczną troskę o cywilizacyjno-duchowy dorobek człowieka i wyrażają żywy niepokój o jego przyszłość (*Sex Wars*, 1996; *Tajemnica chińskiego pokoju*, 1996), ale są też dokumentem politycznej idiosynkrazji pisarza, bez względu na to, czy pisał o mechanizmach sprawowania władzy w Polsce, czy komentował wydarzenia światowej sceny politycznej. Jego droga twórcza, jak widzimy zatem (w tym okresie szczególnie już ostro), to przemiana urodzonego fabularyzatora, pasjonata zagadek kosmosu oraz przenikliwego popularyzatora wiedzy naukowej w sceptycznego filozofa, z niesmakiem przyglądającego się schorzeniom współczesnej kultury (*Lube czasy*, 1995; *Dziury w całym*, 1997; *Bomba megabitowa*, 1999; *Okamgnienie*, 2000; *Dylematy* 2003), coraz bardziej rozczarowanego człowiekiem, jego podatnością na zło i niezdolnością do wzięcia odpowiedzialności za przyszłość świata. Nie ulega wątpliwości, że ten wykazujący już wcześniej pewne cechy mizantropa pisarz, doczekawszy się kresu XX i początku XXI wieku poczuł się rozczarowany. Poznawszy w czasach młodości na własnej skórze zbrodnicze możliwości dwóch totalitaryzmów, miał szczęście dożyć ich agonii, ale nie było mu dane ujrzeć tego, na co zawsze liczył: wielkiego zrywu ludzkości na rzecz globalnego pokoju oraz przymierza uczonych i rządów w walce o przyszłość planety. Z przykrością i rosnącą z roku na rok irytacją musiał przyglądać się tym samym, co zawsze grzechom ludzkości: wszechobecności śmierci i zniewolenia, cynizmowi agresorów i zbrodniczej hipokryzji narodów pilnujących peł-

nego brzucha, lejącej się z mass mediów Niagarze głupoty i moralnego permissywizmu, niewybaczalnej ślepoty i deprawacji polityków, uczonych, autorytetów religijnych i moralnych, a nawet proroków. Patrząc na stopy zapisanych własną ręką — ku nauce i przestrodze — papierów, pisarz dochodził bez wątplenia do przykrego wniosku, że mówił na darmo i „do chińskiego ludu”, stąd stracił w ostatnich latach ochotę na cieniowanie słów i opinii, przemawiając z coraz większą gwałtownością i goryczą. Ale też zawsze tak było w dziejach, że starym profetom brakowało cierpliwości i ponosiła ich pasja oraz pewność własnych racji.

Trudno być Kasandrą, zwłaszcza pomiędzy swymi. Gdy widzi się jaśniej i dalej niż inni, rodzi się dramat niezrozumienia i odrzęcia; gdy ma się do zakomunikowania swym współczesnym rzeczy przykre, trudno liczyć na ich wdzięczność; gdy mówi się w głuchą pustkę to samo od półwiecza, trudno nie dojść do wniosku, że rzuca się perły przed wieprze (mówił to Lem wielokrotnie). By przebić się przez tę ścianę, pisarz starał się mówić na różne sposoby, mieszając — znów podobnie jak Witkacy — konwencje, języki, style i gatunki wypowiedzi. Nie wahał się nawet wstąpić na dwuznaczne tereny, gdzie — jak pisał — „graniczą ze sobą: literatura, nauka, filozofia, hipotezotwórstwo, nieodpowiedzialne bredzenie i profetyczność”. Niestety, im był starszy, tym mocniej uświadamiał sobie, że „głównym zagrożeniem dla człowieka jest sam człowiek”. Dlatego też zrezygnowany wyznawał: „stojąc w obliczu naszej cywilizacji, czuję się jak nad łóżem bardzo ciężko chorego. Cóż tutaj mogą zrobić lekarze? Przede wszystkim należy zawołać księdza i przedsiębiorcę pogrzebowego”.

Jeśli dla ludzi, którzy odpowiadają za losy narodów i świata, rozum waży tak mało; jeśli wypracowane na przestrzeni wieków procedury poznawcze są tak powszechnie ignorowane, a rząd dusz sprawują idioci; jeśli świat przemyka obok nas, tak niewiele nas ucząc, a świadomość powinności nie zmienia podstaw naszego bytu, to faktycznie mogą opaść ręce. Szczególnie człowiekowi, który za najwyższą moralną sankcją i dyrektywę postępowania, jak wyznał w ostatnich słowach *Rozmów z Lemem*, uznał Rozum. Tylko on koił jego frustracje i on zapewne nie pozwolił mu złamać pióra i podążyć śladem swojego Golema XIV w rejony czystej, niezwiązanej kompletnie z życiem, spekulacji oraz pogrążenie się w nirwanie filozoficznych medytacji. Mówił zatem i pisał Lem aż do końca. W jakimkolwiek gatunku by się wypowiadał, ciągle były to te same problemy, które pasjonowały go przez całe życie. Mówił zatem do nas Lem: o naiwności, która każe nam rozglądać się za „Innymi” jako remedium na ziemskie bolączki; o zadufaniu pozwalającym nam przypuszczać, że zdolni jesteśmy do podjęcia kosmogonicznej gry psychozoików; o konieczności podejmowania na własny rachunek posunięć na skalę

globalną, które rozstrzygną o naszym „być albo nie być” we wszechświecie; o naszej niegotowości do podjęcia odpowiedzialności za cywilizacyjne jutro; o przepaści ziejącej pomiędzy technologicznymi możliwościami i aspiracjami człowieka a jego moralnym, aksjologicznym i poznawczym ubóstwem; o konsekwencjach socjoewolucyjnych decyzji, czynionych w imię rzekomego uszczęśliwiania ludzkości; o niebezpieczeństwach autoewolucyjnej inżynierii, wymagającej ingerencji w ciało, którym otuliła nas natura; i wreszcie o konieczności „wykucia takiego ryszunku pojęciowo-artystycznego, więc takich miar intelektualnych, etycznych i estetycznych, które nie rozpią się na najbliższym zakręcie historii”.

Jak widzimy, wiele niepokojów i frustracji Lema dotyczyło spraw aktualnych i dotyczących każdej ludzkiej jednostki, ale też należy podkreślić z wielką mocą, że z równą intensywnością przeżywał on sprawy dla innych całkowicie abstrakcyjne i odległe, takie jak na przykład podpatrywanie inżynierskich rozwiązań przyrody czy projektowanie dalekosiężnych strategii poznawczej eksploracji kosmosu. W przeciwieństwie do wielu wybitnych uczonych i luminarzy, uznawał je za kwestie fundamentalne i niemożliwe do odłożenia *ad acta* dla przyszłych pokoleń. A więc nie umiał także przestać myśleć o przyczynach nieprzeniknionego *silentium universi*, czyli milczącego mijania się planet i galaktyk, mknących przez próżniowe bezdroża, podczas gdy nawet prosta logika podpowiadałaby, że frekwencyjność form życia we wszechświecie nie może być zerowa. Dla wielu ludzi taka kwestia może nie mieć najmniejszego styku z aktualnym życiem, dla Lema jednak miała, bo jako człowiek dalekowzroczny wiedział, że jeśli pod rozgwieżdżonym niebem wciąż jeszcze, przez długie eony, musimy być dla siebie jedyną instancją, to „nic nie może być ważniejsze ponad wysiłek zrozumienia, dokąd świat zmierza, i czy mamy mu stawiać opór, czy też, akceptując ten ruch, aktywnie w nim uczestniczyć”. *Ita dixit Lem* — i ja mu wierzę. Wierzę tym bardziej, że miałem szczęście znać go osobiście i rozmawiać z nim dziesiątki, może nawet setki godzin, dzięki czemu powstały *Rozmowy ze Stanisławem Lemem, Lem über Lem. Gespräche* oraz *Tako rzecze Lem*. Nigdy nie spotkałem i jak sądzę, już nie spotkam, umysłu równie niezwykłego. A rozmawiałem prawie ze wszystkimi współczesnymi polskimi pisarzami. Żyjącym w naszych czasach generacjom nie będzie już dane obcować z inteligencją tak żywą, z rozumem tak głębokim i wszechstronnym. Nie tylko wśród pisarzy. Takie indywidualności zdarzają się bowiem tylko raz na stulecie.

Prof. dr hab. **Stanisław Bereś** pracuje w Instytucie Filologii Polskiej oraz w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego.